

# Groteskowa Autobiografia

Mark Twain



calibre 0.9.27

# GROTESKOWA AUTOBIOGRAFIA

Mark Twain

Ponieważ dwie czy trzy osoby oświadczyły niegdyś, że gdybym napisał autobiografię, przeczytałyby ją chętnie w wolnych chwilach, ulegam więc temu gorącemu żądaniu publiczności i oddaję jej do rąk moją historię.

Pochodzę z wielce szanownego, szlacheckiego i starego rodu, którego korzenie sięgają głęboko w starożytność. Pierwszym z moich przodków, o którym ród Twainów posiada jaką taką wiadomość, był pewien przyjaciel domu nazwiskiem Higgins. Działo się to w XI wieku, kiedy moja rodzina żyła w miejscowości Aberdeen, w hrabstwie Cork, w Anglii. Dlaczego mój starożytny ród posługiwał się od tego czasu nazwiskiem matki, zamiast nazwiskiem Higgins - pozostaje tajemnicą, której nie bardzo chcieliśmy i chcemy dochodzić.

Tkwi w tym jakiś bardzo zawiły i piękny romans, w który wolimy się raczej nie zagłębiać. Wszystkie stare rodziny postępują w ten sam sposób.

Artur Twain był człowiekiem niewątpliwie wybitnym: pełnił on zaszczytne funkcje poborcy rogatek w epoce Wilhelma Rufusa. Mając lat mniej więcej trzydzieści udał się do jednego z owych wspaniałych, staroangielskich miejsc wypoczynkowych, zwanego Newgate, skąd nie było mu już dane powrócić. Zmarł tam nagłą śmiercią.

August Twain narobił sporo zamieszania około 1160 r. Był to jegomość pełen humoru. Miał zwyczaj ostrzyć swą starą szablę, zaczajając się nocą w różnych zaułkach i rzucać się na przechodniów. Istnieją podejrzenia, że przeszywał on ludzi szablą, wyłącznie zresztą po to, aby obserwować ich zabawne konwulsje.

Miał on wrodzone poczucie humoru. Ponieważ jednak posunął się w tej dziedzinie nieco za daleko, władze przychwyciwszy go na tego rodzaju igraszce, oddzieliły jedną część jego ziemskiej powłoki od drugiej. Część ta została umieszczona w pięknym i wyniosłym miejscu na Temple Bar, skąd przodek mój mógł się swobodnie przypatrywać ludziom i spędzać czas na godziwej rozrywce. Żadne miejsce nie przypadło mu nigdy tak bardzo do gustu i do żadnego miejsca nie przywiązał się nigdy na tak długo.

Nasze drzewo genealogiczne wykazuje przez następne dwa wieki szereg szlacheckich rycerzy, którzy szli zawsze do bitwy z pieśnią na ustach tuż za armią i cofali się z dzikim wrzaskiem na jej czele.

Nie przynosi zaszczytu pamięci nieboszczyka Froissarta jego bezpodstawowe i ignoranckie twierdzenie, iż nasze drzewo genealogiczne posiadało zawsze, i to po swej prawej stronie, jedno tylko odgałęzienie, które rodziło owoce zarówno zimą, jak i latem.

Na początku XV wieku żył Beau Twain z przydomkiem "Uczony". Posiadał on wielkie zdolności kaligraficzne i tak doskonale naśladował pismo każdego ze swych bliźnich, że można było wprost pęknać ze śmiechu. Talent jego był niewyczerpanym źródłem humoru. Z czasem jednak przodek mój przyjął musiał zobowiązanie tłuczenia kamieni na gościńcu i praca ta zepsuła mu rękę. Niemniej przeto prosperował on pomyślnie w tym przedsiębiorstwie kamieniarskim, w którym zatrudniony był

z małymi przerwami przez czterdzieści dwa lata. Zmarł na stanowisku. Przez cały ten czas prowadził się tak wzorowo, że rząd widział się zmuszony odnawiać z nim kontrakt, ilekroć choćby na tydzień opuszczał przedsiębiorstwo. Był człowiekiem pełnym uroku. Cieszył się gorącą sympatią swych kolegów-artystów i był wybitnym członkiem ich dobroczynnego tajnego stowarzyszenia, zwanego potocznie "bandą kajdaniarzy". Strzygł się zawsze krótko i miał słabość do ubiorów w paski. Zmarł ku bezbrzeżnemu żalowi rządu. Była to ciężka strata dla kraju, już choćby ze względu na jego wzorową sumienność.

W kilka lat później wystąpił na widownię dziejową znakomity John Morgan Twain. W r. 1492 przybył on do Ameryki wraz z Krzysztofem Kolumbem jako pasażer. Wydaje się, iż był to osobnik o zgryźliwym i niemiłym usposobieniu. W czasie podróży uskarżał się nieustannie na jedzenie i stale groził, że wysiądzie na ląd, choć nie miał raczej po temu okazji. Żądał wciąż świeżej ryby rzecznej. Nie było dnia, aby z dumnie podniesioną głową nie rozbijał się po pokładzie, nie drwił z dowódcy i nie wygłaszał głośno opinii, że Kolumb sam nie wie, jak płynie i dokąd dopłynie. Pamiętny okrzyk "Ziemia!" wzruszył głęboko każdego, tylko nie jego.

Mój przodek wpatrywał się przez krótką chwilę w linię na horyzoncie, a potem powiedział: "Do diabła z ziemią, to tylko czółno!" Gdy przybył na pokład okrętu, przyniósł z sobą chustkę do nosa z monogramem B. G., bawełnianą skarpetkę z literami L. W. C., wełnianą skarpetkę, znaczoną D. F., i nocną koszulę z monogramem O. N. R. Niemniej jednak w czasie podróży zadręczał wszystkich owym "pakunkiem" i chełpił się bardziej swym bagażem niż pozostali pasażerowie razem wzięci. Gdy okręt zanurzał się dziobem, przenosił swój "pakunek" na rufę i badał skutki tego. Gdy okręt zanurzał się rufą, nudził Kolumba o wydelegowanie kilku ludzi z załogi do przeniesienia "pakunku" na dawne miejsce. W czasie burzy musiano kneblować mu usta, bo jego żale nad losem "pakunku" zagłuszały rozkazy dowódcy. Człowiek ten nigdy bodaj nie był publicznie oskarżony o jakiekolwiek przestępstwo, ale zanotowane jest w dzienniku okrętowym jako curiosum, że chociaż przyniósł swój bagaż w gazecie, wyniósł go na brzeg w czterech skrzyniach, ogromnej pacy i kilku koszach od szampana.

Kiedy jednak powrócił na pokład z grubiańską pretensją, że brakuje mu wielu przedmiotów, i kiedy zaczął przeszukiwać bagaże innych pasażerów, przepęłniła się miara cierpliwości i zrzuceno go w morze. Przez długi czas przyglądano się z ciekawością falom, lecz żaden pęcherzyk nie wskazywał miejsca, w którym zanurzył się mój przodek; po chwili zauważono z przerażeniem, iż okręt zdany jest na łaskę fal, lina kotwiczna zaś zwisa luźno z dzioba. I znów zanotowano w poźółkłej księdze okrętowej taką oto dziwaczną uwagę:

"Odkryto, że niemiły ten pasażer porwał kotwicę i sprzedał ją dzikim krajowcom. Co za łotr!"

A jednak człowiek ten kierował się zacnymi i szlachetnymi popędami. Nie bez dumy przypominam, iż był on pierwszym z białych, który poświęcił się pracy nad ucywilizowaniem i edukacją Indian. Zbudował wygodne więzienie, zmontował szubienicę i aż do śmierci zwykł był mawiać z zadowoleniem, że miał na Indian wpływ znacznie szlachetniejszy i bardziej podniosły niż jakikolwiek inny reformator. W tym miejscu kronika staje się nagle bardziej mglista i kończy się niespodziewanie wiadomością, iż stary podróżnik, ponosząc skutki powieszenia pierwszego białego człowieka w Ameryce, doznał przy tym tak wielkich obrażeń, że przyplącił to życiem.

Prawnuk "reformatora" żył w roku tysiąc sześćset z kawałkiem. Występuje on w kronikach rodzinnych jako "stary admirał", chociaż historia nadała mu inne tytuły. Przez długi czas dowodził flotą lekkich, dobrze uzbrojonych statków i położył wielkie zasługi w pracy nad ściganiem okrętów kupieckich. Okręty, za którymi płynął lub które dojrzał swym sokolim okiem, szybko zazwyczaj mknęły po oceanie. Jeżeli jednak jakiś okręt guzdrał się w idiotyczny sposób, oburzenie jego nie

miało granic. Kiedy nie mógł dłużej już zapanować nad sobą, zabierał taki okręt do siebie i starannie go ukrywał w oczekiwaniu, iż zgłoszą się poń jego właściciele. Nie zdarzało się to jednak nigdy. Pragnąc oduczyć marynarzy zagarniętego okrętu lenistwa i gnuśności, zmuszał ich do wzmacniających ćwiczeń i kąpieli. Nazywał to "chodzeniem po desce". Wszyscy jego podopieczni niezmiernie to sobie chwalili. Straciwszy nadzieję, że właściciele zgłoszą się po swoje okręty, admirał palił je zwykle, ponieważ nie mógł patrzeć na tego rodzaju marnowanie pieniędzy wydanych na ubezpieczenie od ognia.

Wreszcie wspaniały ten wilk morski został ścięty w kwiecie wieku i u szczytu swej kariery życiowej, wdowa zaś po nim była przekonana aż do śmierci, iż gdyby operacji tej dokonano o kwadras wcześniej, byłby wskrzeszony.

Charles Henry Twain żył w drugiej połowie XVII wieku. Był to żarliwy i znakomity misjonarz.

Nawrócił on szesnaście tysięcy mieszkańców wysp na morzach południowych i przekonał ich niemal, że naszyjnik z psich zębów i para binokli nie są dostatecznym przyodziewkiem do uczestniczenia w służbie bożej.

Zacna jego trzódka kochała go bardzo, bardzo gorąco, gdy zaś pogrzeb jego się skończył, uczniowie powstali gromadnie (i wyszli z jadłodajni) ze łzami w oczach, mówiąc, że był to dobry, pulchny misjonarz i pragnęliby bardzo zjeść jeszcze coś z niego.

Pa-Go-To-Wah-Wah-Pukketekiwis (Potężny Myśliwy o Świńskim Oku) Twain był ozdobą XVIII wieku. Pomagał całym sercem generałowi Braddockowi w zwalczaniu ciemżyciela - Waszyngtona. On to właśnie strzelał zza drzewa siedemnaście razy do Waszyngtona. Aż do tego miejsca to piękne i romantyczne podanie, które znaleźć możecie w umoralniających książeczkach, jest zgodne z historią; kiedy jednak zbliżamy się do opowieści o tym, jak to przejęty zgrozą dzikus oświadczył po siedemnastym strzale, iż nie śmie już podnieść bezbożnej broni przeciw człowiekowi, przeznaczonemu widać przez Wielkiego Ducha do spełnienia wielkiej misji dziejowej - to tu zaprzeczyć musimy z całą energią temu wyraźnemu fałszowaniu historii. W rzeczywistości bowiem przodek mój wypowiedział następujące słowa: "To całkiem bezcelowe. Ten człowiek jest tak pijany, że chwieje się na nogach i nie mogę w żaden sposób go trafić. Nie mam zamiaru marnować więcej nabożów." Oto jaka była prawdziwa przyczyna zaprzestania kanonady po siedemnastym strzale - przyczyna bardzo prawdopodobna i zdobywająca bez zastrzeżeń nasze zaufanie. Ubóstwiałem zawsze opowiadania ze wspomnianej książeczki, żywiłem jednak podejrzenie, że każdy Indianin, strzelając w czasie bitwy dwukrotnie do któregoś z żołnierzy Waszyngtona (a dwa w ciągu stulecia z łatwością wzrosnąć może do siedemnastu), gdy chybił, nabierał przekonania, iż Wielki Duch przeznaczył tego żołnierza do wielkich celów.

Mniemam, że jedyną przyczyną, dla której sprawa strzelania do Waszyngtona dostała się do podręczników historii, inne zaś analogiczne wypadki poszły w zapomnienie, jest fakt, że prorocstwo Indianina spełniło się właśnie w odniesieniu do prezydenta. Niewątpliwie nie starczyłoby książek na całej kuli ziemskiej, aby pomieścić w nich wszystkie prorocтва, jakie wypowiedzieli Indianie i inne niepowołane indywidua - lecz listę prorocत्व spełnionych można by doskonale zmieścić w kieszonce od kamizelki.

Pragnę tu nadmienić, że niektórzy z moich przodków znani są w historii pod przydomkami, wobec czego nie widzę potrzeby streszczania ich dziejów ani nawet wyliczania ich wszystkich z nazwiska. Godzi się jednak wspomnieć, że Richard Brinsley Twain, alias Guy Fawkes, John Wentworth Twain, alias Jan z Szesnastoma Stryczkami, William Hogarth Twain, alias Jack Sheppard, Ananias Twain, alias baron Münchhausen, John George Twain, alias kapitan Kydd, wreszcie George Francis Twain, Tom Pepper, Nabuchodonozor i oślica Balaama - wszyscy oni należą do naszej rodziny, ale do gałęzi

nieczo oddalonej od głównej linii rodowej. Członkowie tej bocznej gałęzi różnią się od swego starożytnego pnia przede wszystkim tym, że w rodzinnym dążeniu do zdobycia sławy wybrali nędzną metodę gnicia w więzieniu, zamiast korzystania z dobrodziejstw szubienicy.

Nie jest rzeczą pożądaną, aby doprowadzić tego rodzaju wspomnienia zbyt blisko do swojej epoki.

Lepiej wspomnieć jedynie niewyraźnie o pradziadku, następnie zaś przeskoczyć do swojej osobistej historii, co niniejszym czynię.

Urodziłem się bez zębów i pod tym względem Ryszard III miał wyższość nade mną. Urodziłem się jednak bez garbu i pod tym względem miałem przewagę nad nim. Moi rodzice nie byli ani zbyt ubodzy, ani też przesadnie uczciwi. Ale przychodzi mi coś do głowy. Moja własna historia wydaje mi się wobec losów mych przodków tak licha i skromna, że bezpieczniej będzie pozostawić ją nienapisaną, aż do czasu kiedy i ja zostanę powieszony. Gdyby inne biografie, które miałem okazję czytać, przestały na przodkach, zanim nie zdarzy się podobny wypadek z ich właściwym bohaterem, byłoby to błogosławieństwem dla czytelnika.

I cóż wy na to?

Przygotowano na podstawie bookini.pl